



Wspomnienia Jerzego Jurkiewicza o Marianie Mięśowiczu

Jerzy Jurkiewicz

Instytut Fizyki UJ

Z Marianem Mięśowiczem, „wujkiem Marianem”, łączy się duża część mojego dzieciństwa i młodości. Po Powstaniu Warszawskim moi rodzice wyładowali u przyjaciół pod Krakowem. Mój ojciec, jako fizyk, został zaproszony przez prof. Mięśowicza do współpracy i tworzenia Katedry Fizyki na Akademii Górniczo-Hutniczej. Cała rodzina została przygarnięta i zamieszkała w domu prof. Mięśowicza przy ulicy Mikołajskiej. Tutaj ja przyszedłem na świat.

Współpraca naukowa mojego ojca przekształciła się wkrótce w serdeczną przyjaźń między naszymi rodzinami. Mieszkaliśmy w tej samej kamienicy, więc od najwcześniejszego dzieciństwa miałem okazję spędzać wiele czasu w otoczeniu rodziny Mięśowiczów, bawić się z ich dziećmi i uczestniczyć we wszystkich rodzinnych uroczystościach. Czuję się zawsze członkiem tej rodziny, wierząc święcie, że Marian Mięśowicz jest moim prawdziwym, a nie tylko przyszywanym wujkiem.

Postać prof. Mięśowicza stanowiła zawsze magnes, do którego ciągnęli wszyscy, zarówno sławni, jak i mniej sławni znajomi. Przyjęcia w jego domu często były okazją spotkania wielu wspaniałych ludzi. Oczywiście, jako dziecko nie doceniałem w pełni wyjątkowości tej atmosfery, którą potrafił wokół siebie wytworzyć, ale nawet będąc dzieckiem cieszyłem się mogąc brać udział w spotkaniach tej niezwykłej grupy przyjaciół, która go otaczała.

Atrakcją były też wakacje letnie, kiedy czasami miałem okazję wyruszać z Mięśowiczami na wyprawy w Tatry. To właśnie z nim łączą się moje pierwsze doświadczenia w zdobywaniu szczytów górskich, noclegami w schroniskach i czasem moknięciem w tatrzańskich ulewach.

W ostatnich klasach szkoły podstawowej połączyła nas jeszcze jedna pasja. Co roku spędzaliśmy wspólnie okres przerwy semestralnej w Bukowinie Tatrzańskiej, gdzie pod jego okiem uczyłem się jazdy na nartach oraz umiejętności zachwycenia się pięknem zimowych gór. Jakoś zawsze udawało mi się wyrwać ze szkoły na parę dni w tym okresie. Wyruszyliśmy we dwójkę rano w kierunku Głodówki, niosąc narty i rozmawiając. Na Głodówce siadaliśmy na tradycyjną herbatę z cytryną i zjadaliśmy nasze kanapki, patrząc na wspaniały widok. Wujek Marian potrafił rozpoznawać wszystkie szczyty i miał mnóstwo fascynujących opowieści na temat swoich wypraw górskich. Później zjeżdżaliśmy piękną, pokrytą grubą warstwą śniegu, Błękitną Dolinką. Nie wiem, czy tak się naprawdę nazywa, my ją w każdym razie tak nazywaliśmy. To jest chyba ciągle jeszcze moje najpiękniejsze wspomnienie narciarskie.

Jestem pewien, że obok tradycji rodzinnych, również jego postać odegrała ważną rolę w mojej decyzji, by wybrać fizykę jako kierunek moich studiów. Niestety, radość ze studiowania wybranego przedmiotu połączyła się z moim osobistym dramatem, w ciągu dwu miesięcy niespodziewanie zmarli moi rodzice. W tym trudnym okresie dom prof. Mięśowicza, a zwłaszcza jego wsparcie stały się dla mnie wielką pociechą. Wielokrotnie korzystałem z jego rad, zawsze mogłem liczyć na jego pomoc. Uważnie śledził moje postępy w nauce i cieszył się razem ze mną moimi sukcesami.

Już po studiach, w roku 1979 wybierałem się na mój pierwszy wyjazd naukowy, na staż podoktorski na Uniwersytecie w Utrechcie. Wuj Marian bardzo przeżywał ten wyjazd, bo również on, jako młody naukowiec, miał okazję pracować w tym samym ośrodku. Miał wiele własnych wspomnień z tego okresu i wiele rad, dotyczących środowiska holenderskich fizyków. Do dziś mam przewodnik po Utrechcie, który dostałem od niego.

Moje późniejsze kontakty nie ograniczały się do cotygodniowych seminariów w Instytucie na Kawiorach. Zawsze interesował się moją pracą, miał niezwykły talent wnikania w problemy fizyki, nawet bardzo odległe od jego specjalności.

Myślę, że tak jak wielu moim kolegom brak mi w dzisiejszej rzeczywistości osoby jego pokroju, która potrafiłaby zintegrować środowisko naukowe, które stworzył.



Od lewej: prof. M. Mięśowicz, prof. H. Niewodniczański i prof. J. Weyssenhoff w Tatrach w czasie wakacji na Bukowinie